

Szafarze złudzeń.

W moim rodzinnym mieście, dokąd zaglądam stale co pewien czas, miałem przed wielu laty wizytę nowego przybysza, który osiedliwszy się tam niedawno zapisał się na listę adwokatów. Nazywał się Pagny i opowiadał o nim cuda. Osoba jego otoczona była tajemniczością. Nie wiadano nic zgoła o jego rodzinie. Mieszkał samotnie i był w sobie zamknięty. Sądząc z opowiadań moich znajomych o nim, wyobrażałem go sobie, jako osobnika w rodzaju Alberta Savarus'a, knującego po cichu jakąś ambivalentną intrygę.

— Powinien był pozostać w Paryżu! Jest dość zdolny na to, aby zrobić tam karierę! — napomkali koledzy jego po fachu, zaczynający obawiać się rywala.

Rzeczywiście. Dlaczego wybrał prowincjonalne miasto?

Postawiłem mu to pytanie, tem swobodniej, że odpowiedź, ta czy inna, była mi najzupełniej obojętną.

— Dla bardzo prostej przyczyny — odparł mi — nie miałem czasu czekać.

— Nie miał pan czasu?

— Oczywiście. Moje dochody bowiem wyczerpały się z chwilą ukończenia fakultetu prawniczego przeze mnie. Musiałem zarabiać na życie, nie zwlekając, a Paryż w tych warunkach nie mógł mi odpowiadać.

— Zapewne... Rzykował pan jednak ostatecznie na mieliznie, gdyż prowincja jest wrogo usposobiona dla obcokrajowców zazwyczaj. Z nieufnością odnosi się do nich. Tyś się przykrych figli pląta im nieraz.

— Naogół, lecz nie w interesach. Skoro tylko sakiewka z pieniędzmi wchodzi w grę, każdy słucha głosu rozsądku wyłącznie. Ja zaś pewien jestem, że potrafię przemówić ludziom do rozumu. Moja metoda jest niezawodna.

Wyglądał w istocie bardzo zadowolony z siebie, bez pompatyczności, bez emfazy, naturalnie, jak uczony w posiadaniu rozwiązania problemu matematycznego.

— Jaką jest pańska metoda, jeśli wolno zapytać?

— Najprostsza w świecie: mówię prawdę podczas kiedy moi koledzy są przeważnie szafarzami złudzeń. Słucham mych klientów uchem obiektywnym, że się tak wyrażę, puszczając kantem wszystko osobiste w ich wywodach. Obdzieram jednem słowem sprawę z wszelkich niepotrzebnych akcesoriów i widzę ją w jej nagości. Wówczas dopiero rozpatruję ją, rozważam, szacuję i idę na pewniaka.

— Cóż pozostaje ze sprawy odartej z owych „niepotrzebnych dodatków“?

— Prawie nic. Większość procesów nie warta obrony. I dlatego też wszystkie miałem załatwiać nim stanę przed krawką sądową.

— Czyli kierujesz się pan przysłowiem: „zły układ jest lepszy od dobrego procesu“?

— Kieruję się moją metodą — odparł u-

rażony. Mówię moim klientom: „macie słuszność“ jeśli mają słuszność i „nie macie racji“ jeśli nie mają racji. Nigdy żadnych ustępstw, schlebiamia, koncesyj... Bronię wyłącznie spraw pewnych, z góry wygranych. Imię umarzam w zarodku. I chwalić Boga w rok niespełna wyrobiłem sobie dobrą opinję, poważanie w trybunale i zaufanie klienteli.

— Jakim sposobem zdobyłeś pan tę cudowną metodę?

— Zawdzięczam ją specjalnym warunkom: mej egzystencji i nazwisko moje pochodzi od nazwy wioski nad Mozą, gdzie znaleziono mnie w poczekalni kolejowej wraz z zapieczetowaną kopertą, zawierającą dość znaczną kwotę na pokrycie kosztów bardzo starannego wychowania. Zwierzam się panu z tych szczegółów ponieważ wiem, że nie biorąc udziału w życiu towarzyskiemu miasta nie zrobi pan z nich użytku. Oddano mnie do przytułku, potem do liceum, do uniwersytetu wreszcie, gdzie ukończyłem wydział prawny. Opieka społeczna wywiązała się bez zarzutu ze swego zadania, zdając mi rachunek z mego funduszu co do grosza.

— Jak mi pana żal...!

— Żal?! Dlaczego? Jestem najzupełniej zadowolony z mego losu. Nie mam pretensji do nikogo: moi nieznanzi rodzice obdarzyli mnie inteligencją i środkami do użytkowania jej, oszczędzając mi natomiast balastu przesadnej uczuciowości. Miałem opiekę dostateczną, dbam o mój rozwój zarówno fizyczny jak i duchowy... Nie! Doprawdy nie jestem pożałowania godny, skoro posiadam dobro najrzadsze...

— Jakże?

— Bystrość umysłu, przenikliwość, jasność sądu. Patrząc na ludzi okiem zimnem, trzeźwym, nieubłaganym, okiem nie zaproszonym żadnym pyłkiem ludzkich słabostek. Widzę ich takimi jakimi są, nie zaś jakimi wydają się. Dzięki temu nie myślę się. A to ma swoją bezcenną wartość!

Po jego wyjściu doznałem pewnego rodzaju ulgi. Obecność jego podziałała na mnie jak przeciąg. Uczułem zimno w plecach, lód w sercu. Ten człowiek bez wspomnień swego dzieciństwa, zaznanych przeszczoł, pobłażania, połajaniek, wzrosły bez ciepła miłości rodzicielskiej — którą śmiało przezwad „przesadną uczuciowością“ — bez radości i smutków, nie skarżący się na nic, nie żałujący niczego, nie zazdroszczący nikomu, dumny ze swego obiektywnego umysłu i nieomyślności sądu — wydał mi się potworem.

Czy to przygotowuje nam ludzkość w przyszłości ze swym komunizmem i autorytetem (małn-mise) państwa nad dzieckiem?

Istoty nijakie, bezbarwne, rzeczniczki prawdy bezwzględnej i bezlitosnej, którą my dzisiejsi osławiamy sobie gestwinę naszych namiętności i ukochań! Przed moimi oknami, na pobliskim polu para wołów ciągnęła powoli brzozy głębokie. Wolarz

poganiał je podczas gdy farmer pewną ręką trzymał na czapidle (kozicy). W zimnem czystem powietrzu tego pięknego listopadowego dnia słyszałem wyraźnie ojcowski głos wolarza, zachęcającego swe wołki do pracy pieszczotliwymi zdrobniałymi przezwiskami.

I zwierzęta zatem są uczuciowe, wrażliwe... potrzebują złudzeń, jak ludzie!

Czy sposób rządzić, władać, sterować, tworzyć bystrym, jasnym mózgiem tylko i siłnymi ramionami?

W dwa lata potem letnią porą mistrz Pagny odwiedził mnie powtórnie. Miał miłą strokaną.

— Przyszedłem pożegnać się z panem — oznajmił mi z pewną uroczystością w głosie.

— Na wilegiaturę zapewne?

— Nie. Wyjeżdżam stąd na zawsze.

— Opuszcza pan swoją klientelę?

— Nie mam jej.

— Dlaczego? Czyżby pańska metoda oparta na bezwzględnej prawdzie zbankrutowała?

— Bardzo trafne określenie. Tak jest, panie. Zbankrutowała. Ludzie nie chcą prawdy. Lubują się w kłamstwie!... Kochają swoje złudzenia!...

— Ależ ci sami ludzie obdarzali pana zaufaniem z początku!...

— Dlatego, że byłem „nowem siłkiem na kołeczku“. Nowość bawi, pociąga, wabi. Dość mieli schlebiamia, nadszkania, liczenia się z ich stroną uczuciową więc przychodzili do mnie po nagą prawdę bez obstron, bez złudzeń. Dawali mi brutalizować się. To też rzucałem im tę nagą prawdę tak pełnemi garściami, aż opamiętawszy się zapragnęli znowu iluzji swoich, zateśknili do nich i dlatego przeszli ode mnie do moich kolegów, którzy umieją szafować złudzeniami, prawdę zaś... odmierzają na gramy, na uncje, jak najmikroskopijniejszymi dawkami! Ja tego nie potrafię, niestety! Jestem jak Alceste, z którego Moliere w wieku XVII już zrobił typ komiczny.

— Cóż poczniesz pan z sobą?

— Wstępuję do administracji.

— Jakiej?

— Opieki społecznej. Zaproponowano mi tam dobre stanowisko. Będę wychowywał dzieci innych, a raczej dzieci, nie należące do nikogo.

— W kulcie dla bezwzględnej prawdy?

— Nie. O, nie, panie.

— W kulcie złudzeń, kłamstwa?

Spajrzał na mnie z żalem, widząc, że nie zrozumiałem go. I wówczas dopiero domyśliłem się tragizmu, jaki krył się za jego me tołą obiektywną.

— Postaram się dać im to, czego mnie brakło w dzieciństwie a co powinno w dalszym życiu łagodzić, przesłaniać zbytnią surowość, okrucieństwo prawdy...

— Co takiego?

— Nieco ciepła, pobłażania serca — ludzkości trochę...

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 1 grudnia 1929 roku.

Nr. 49.

Uroczystości Dekertowskie w Łodzi.



Łódź święciła w dniu 24 listopada roku bieżącego 140-letnią rocznicę pierwszego zjazdu przedstawicieli miast polskich, który stanął w obronie interesów mieszczaństwa polskiego. Inicjatorem tego zjazdu był pierwszy obrońca praw mieszczańskich, ówczesny prezydent m. st. Warszawy, sprężysty organizator Jan Dekert, który odegrał niemałą rolę w wielkopomnym akcie Konstytucji 3-go Maja.

Z okazji tej odbyła się podniosła uroczystość w Resursie Rzemieślniczej w Łodzi, zakończona akademją, której fragment podajemy powyżej. W akademji wzięli udział: J.E. ks. biskup dr. Tymieniecki, przedstawiciele władz rządowych z p. wojewodą Jajszczoltem na czele, organizacje rzemieślnicze i stowarzyszenia społeczne.

Fot. A. Mayer.

TEATRALJA.

„Bronx-Express“.—Sztuki polskie zagranicą. — Jeszcze o Sheriffie. — Wykłady o teatrze. — Z drugiej półkuli.

Ruchliwy bardzo w tym sezonie warszawski teatr popularny „Ateneum“ wystawił ostatnio głośną sztukę Osipa Dymowa p. t. „Bronx-Express“, z życia emigrantów w Ameryce. Wystawienie tej sztuki zapowiedział również i to podobno w czasie najbliższym, Teatr Kameralny w Łodzi; będzie więc okazją do obszernego omówienia interesującej nowości. Narazie wspominamy tylko pokrótce, że akcja sztuki, po krótkim prologu, rozgrywa się we śnie, a śniącym jest robotnik nowojorski — emigrant, jadący po pracy do domu pociągiem kolejki podziemnej. Rozmowa z przygodnie spotkanym w wagonie znajomym, który zbija pieniądze na jakichś niebardzo czystych aferach, oszołomiła bohatera sztuki i sprowadziła nań sen, spełniający życzenia bogactwa. Gdy się jednak okazuje (w tym śnie), że za upragniony milion robotnik musi sprzedać to, co posiada najcenniejszego, t. j. prawo do odpoczynku i wytchnienia, rezygnuje on wewnętrznie z marzeń o bogactwie, a sen przerywany przywraca go do rzeczywistości, posiadającej — mimo wszystko — swoje dobre strony. Sztukę Dymowa odegrano w Warszawie bardzo starannie, zwłaszcza wyróżnił się p. Bogusławski w roli głównej.

W jednym z mniejszych miast niemieckich mianowicie w Gera, teatr miejski wystawił w tłumaczeniu Fr. Csokora arcydzieło Zygmunta Kraszińskiego „Nieboską Komedję“. W prasie niemieckiej ukazały się liczne recenzje, poświęcone tej premierze, a wszystkie podnoszą wysokie wartości poetyckie „Nieboskiej“ i niezwykłość dialogu, pełnego poetyckiej siły. Co do wykonania, stanowi ono na scenie teatru w Gera na odpowiedniej wyżynie.

„Nowa Dejanira“ — Słowackiego doczekała się niemal równocześnie wystawienia w... Chicago i Londynie. W Chicago dzieło to zostało odegrane siłami jednego ze stowarzyszeń polskich, w Londynie zaś przygotował „Nową Dejanirę“ do wystawienia znany literat i tłumacz polski, p. Florjan Sobieniowski. Zarówno w Londynie jak na drugiej półkuli dzieło Słowackiego spotkało się z należnym wielkości twórcy przyjęciem.

Z okazji wystawienia w warszawskim Teatrze Narodowym sztuki Sheriffa p. t. „Koniec wędrówki“, która spotkała się z wybitnym sukcesem, prasa stołeczna podaje wiadomość, że na jednym z przedstawień tej sztuki, granej w Londynie w „Teatrze Ks. Wali“, obecna była angielska para królewska oraz księstwo Yorku. W czasie airtaktu autor zaproszony został do loży królewskiej, gdzie król i królowa wyrazili mu żywe uznanie. Podczas bankietu, wydanego w Londynie dla uczczenia 11-ej rocznicy zwycięstwa bronii, rękopis sztuki Sheriffa nabył za 1500 f. szt. sir Walter Lawrence. Pieniądze w ten sposób uzyskane przeznaczone zostały na fundusz Ligi Narodów.

Na uniwersytecie w Chicago wykłada od trzech lat prof. Fred Eastman, znany w A-



Teatr Popularny w Łodzi wystawił ku ogólnemu zadowoleniu swych bywalców piękną, barwną i wesołą komedjo-operę „Skalmierzanki“ — J. N. Kamińskiego. Na zdjęciu powyższym widzimy jeden z fragmentów tej ze wszechmiar zasługującej na poznanie komedjo-opery. Fot. A. Mayer.

meryce dramaturg. historję „dramatu religijnego“. Prof. Eastman pod nazwą „dramatu religijnego“ rozumie bynajmniej nie tylko sztuki o treści biblijnej, misterja religijne i t. p. lecz wogóle takie, które podnoszą poczucie moralności człowieka, wzmagają siłę ducha, zacieśniają węzły łączności pomiędzy człowiekiem a Bogiem. Wykłady swe rozpoczął na prof. Eastman od dramatów greckich, w założeniu swem religijnych, przechodził później do rozbioru misterjów średniowiecznych i wreszcie kończy na współczesnych sztukach Galsworthy'ego i Shaw'a („Św. Joana“). Tą drogą zapoznają się słuchacze z historją dramatu, jego ideą, rozwinięciem tematu, techniką inscenizacyjną i odtwórczą. Wykłady teoretyczne poparte są ilustracją sceniczną odtwarzania omawianych utworów przez studentów pod reżyserją i kierownictwem profesora. Niektóre z utworów pisane są oryginalnie przez słuchaczy, przy czem posiadają za temat problemy zupełnie aktualne i nowoczesne. Katedra uniwersytecka prof. Eastmana przyczynia się w dużym stopniu do popularyzowania poważnej sztuki dramatycznej.

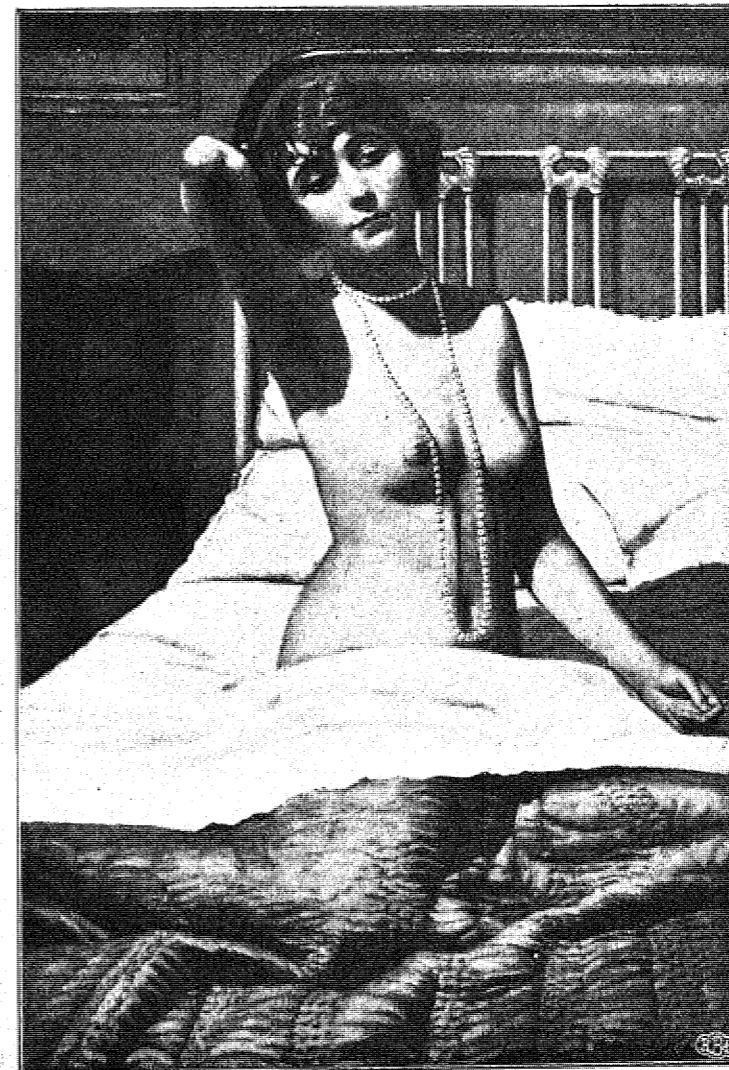
W tych dniach rozpoczął się sezon w największej i najbogatszej operze świata — w

„Metropolitan Opera House“ w N. Jorku. Na inaugurację wystawiono „Manon Lescaut“ — Puccini'ego z Lukrecją Bori i Benjamine Gigli w rolach głównych. Sezon potrwa 24 tygodnie, podczas których będzie wystawionych 70(!) oper. Repertuar roczny zawiera tylko jedną operę amerykańską p. t. „The King's Henchman“ („Koniusz Królewski“), poza tem grane będą: Wagnera i Verdi'ego po 9 oper, Puccini'ego — 8 oper, Mozarta — 3 opery i Massenet — 3 opery. Wśród gwiazd, popisujących się w tym sezonie na scenie „Metropolitan Opera House“ znajduje się również i nasz znakomity rodak — Adam Didur. Krag łóż, obiegających widownię dookoła tego wspaniałego teatru, nosi oddawna nazwę „brylantowej podkowi“; nazwa ta stała się całkiem zrozumiałą, gdy zważywszy, że w łóżach wspomnianych zasiadają wyłącznie najbogatsze sfery N. Jorku. Iśniące oczywiście od klejnotów i brylantów, ocenianych na miliony dolarów.

Delta.



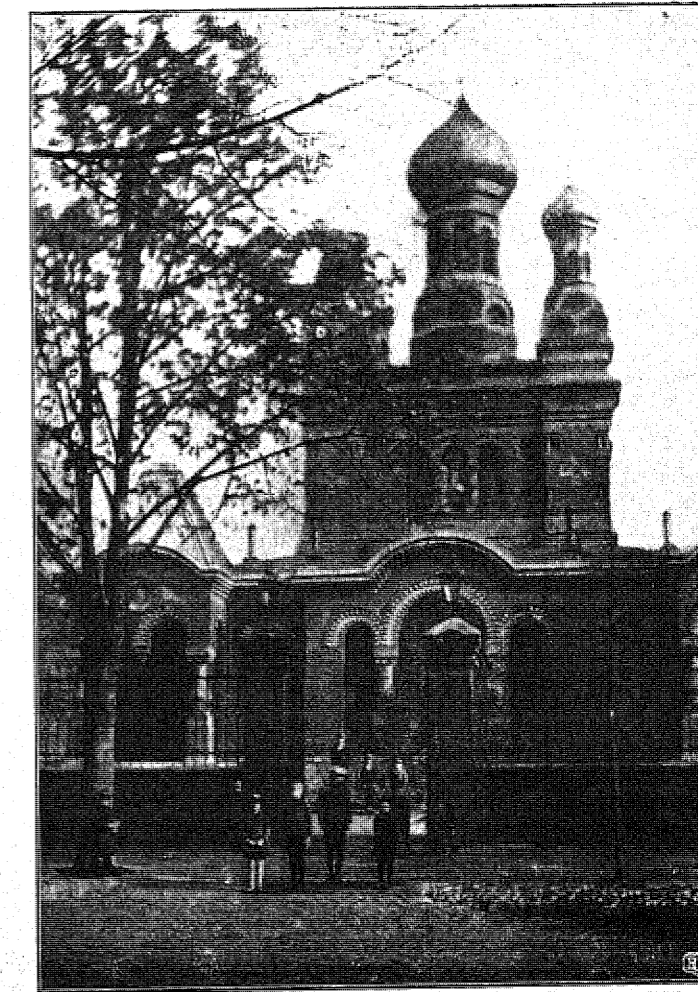
Towarzystwo Śpiewacze im. Moniuszki w Łodzi święciło 35-letni jubileusz swego istnienia. Z tej okazji odbyło się uroczyste udekorowanie zasłużonych członków — jubilatów medalami i dyplomami uznania. Na zdjęciu powyższym widzimy członków przydzium uroczystości z ks. prałatem Małczyńskim prezesem Rady Miejskiej inż. Holcgreberem i vice-prezesem Rady Miejskiej dyr. Wołczyńskim na czele.



Na grudniowej wystawie w Miejskiej Galerji Sztuki w Łodzi znajdzie się piękny obraz pędzla art.-malarza Bolesława Nawrockiego p. n. „Dziewczyna w perłach“.



Z racji uroczystości jubileuszowych Tow. Śpiew. im. Moniuszki z siedziby tego Towarzystwa wyruszył do kościoła św. Józefa pochod członków i ich rodzin na uroczyste nabożeństwo. Powyżej widzimy czoło pochodu przed siedzibą Towarzystwa przy ul. Ogrodowej. Fot. A. Mayer.



Tymczasowy kościół garnizonowy w Łodzi, przy ul. św. Jerzego, który w niedalekiej przyszłości zostanie przebudowany i zmieni swój zewnętrzny wygląd, przeczący duchowi polskiemu.

3-ci KONKURS

„Kurjera Łódzkiego”
dla naszych milusińskich

p. n.

„TYP DZIECKA POLSKIEGO”

W konkursie tym mogą wziąć udział wszystkie dzieci od lat 2—7, których rodzice winni nadesłać do redakcji „Kurjera Łódzkiego”

fotografie, oznaczone godłem,

nazwisko zaś imię i adres, winno być załączone w drugiej zamkniętej kopercie, oznaczonej tem samym godłem. Reprodukcyjne fotografie zamieszczane będą co tydzień w dodatku „Łódź w Ilustracji” w ilości od 12—20

Gdyby fotografii w którymkolwiek tygodniu było więcej, kolejność umieszczenia nastąpi w drodze losowania.

Konkurs trwa do 1 kwietnia 1930 r.

Wszyscy czytelnicy mogą głosować na wybrany przez siebie typ wycinając odpowiadający kupon, znajdujący się w każdej niedziele w „Kurjerze Łódzkim”. Na kuponie tym należy wpisać tylko godło dziecka, na które się głosuje i w zamkniętej kopercie z nagłówkiem „Na konkurs” nadesłać pod adresem „Kurjera Łódzkiego”

Losowanie nastąpi w obecności członków redakcji po dniu 1 kwietnia 1930 r. Jako nagrody redakcja „Kurjera Łódzkiego” przesłać dla dzieci na które padnie szkolei największa ilość głosów:

- I Kompletne ubranko letnie, składające się z garniturku, względnie sukienki, trzewiczków i kapelusika oraz żeton złoty.
- II Rower dziecienny, względnie kolczyki złote oraz żeton srebrny.
- III „Niezdojta forteca” albo piękna lala i żeton brązowy.
- IV „Krokodyl” lub wielka piłka gumowa.
- V 6 książek w ozdobnej oprawie z bajeczkami ilustrowanymi.



Godło „Kituś”.



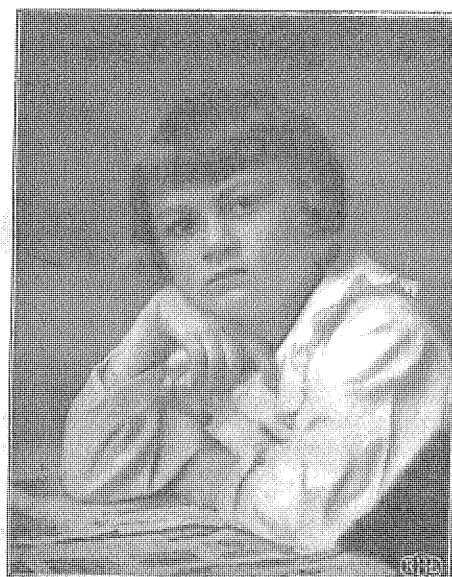
Godło „Sarenka” i „Śnieżka”.



Godło „Kraakowianka II”.



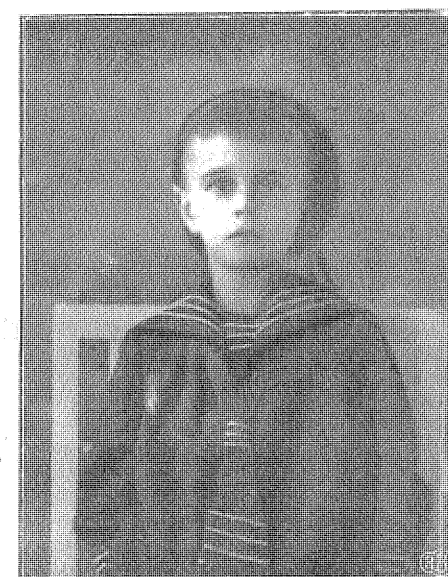
Godło „Buba”.



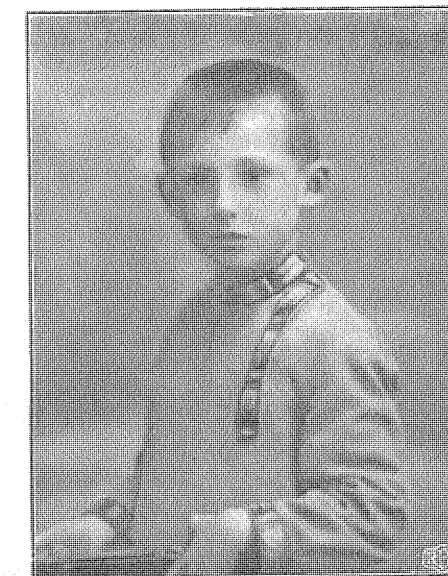
Godło „Zbyszek”.



Godło „Królewicz”.



Godło „Marynarz”.



Godło „Kościuszko”.



Godło „Wandeczka”.



Godło „Zaduma”.



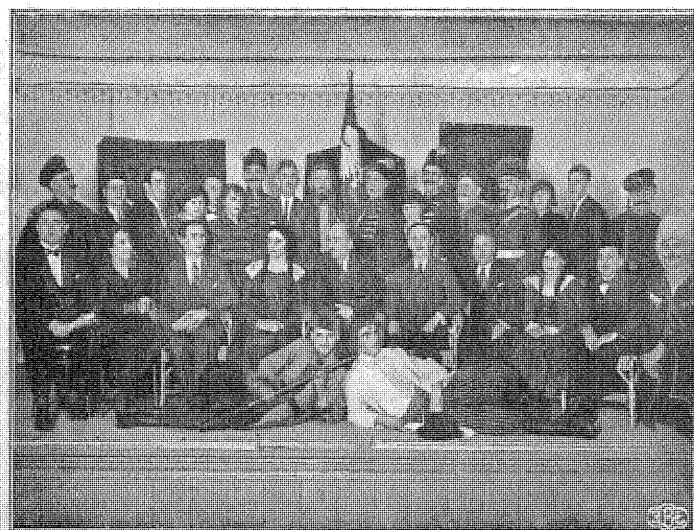
Godło „Haluska”.



Godło „Zakopjanika”.

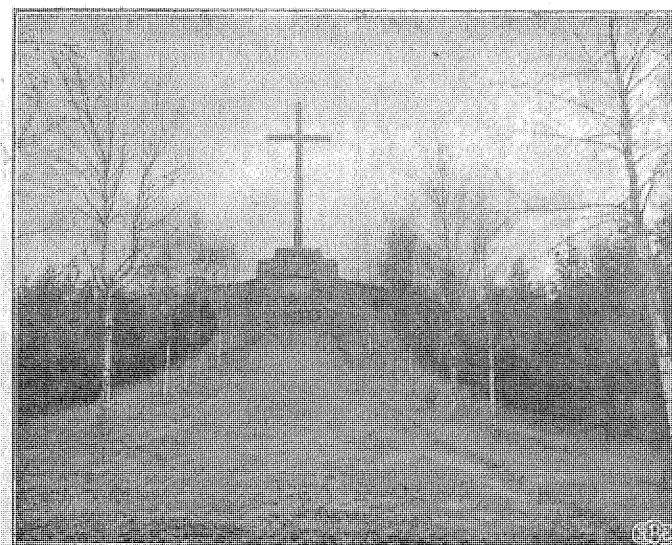


W ubiegłym miesiącu Towarzystwo Śpiewacze im. św. Cecylii w Rzgowie święciło 30-letni jubileusz swego istnienia. Uroczystość ta odbyła się przy udziale ks. prałata Siecińskiego, starosty łódzkiego p. A. Rzewskiego, ks. kanonika Żaka, założyciela tej placówki śpiewaczej, członków zarządu Związku Śpiewaczego w województwie łódzkim pp. Michałowskiego, Beltowskiego i Pedzińskiego oraz przedstawicieli wszystkich towarzystw śpiewaczych z terenu całego województwa. Powyżej uczestnicy uroczystości ze sztandarami na czele.

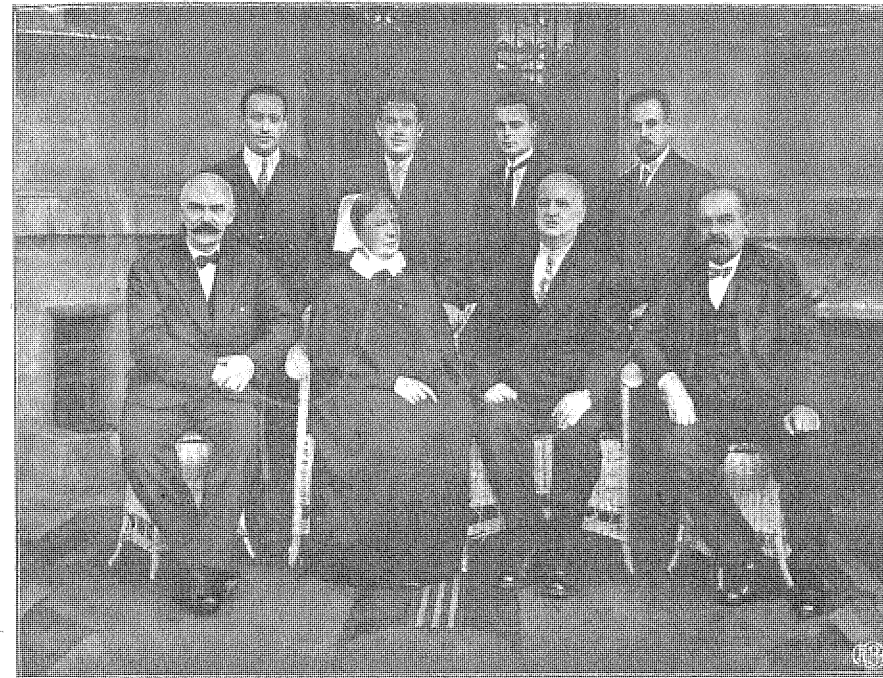


Sekcja dramatyczna klubu Zjednoczonych Zakładów Scheiblera i Grohmana z zarządkiem na czele.

Fot. A. Mayer.



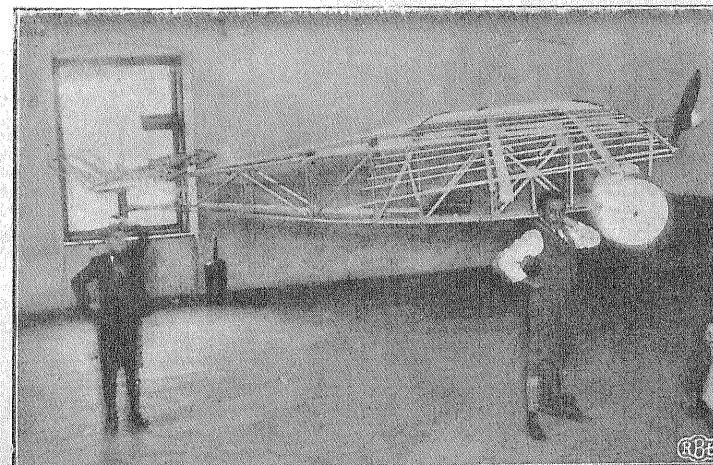
Cmentarz wojenny na rzgowskim wzgórzu. W pośrodku alei wznosi się krzyż. Spoczywają tu żołnierze armij zaborczych, poległi w czasie wielkiej wojny.



W ubiegłym miesiącu Stowarzyszenie Sióstr Miłosierdzia „Tabea“ obchodziło ćwierćwiekowy jubileusz swej pracy na terenie Łodzi. Powyżej widzimy personel lekarski kliniki „Betleem“ z lekarzami dr. Brzozowskim, siostrą przełożoną B. Lohrer, dr. I. Wattenem i dr. Mittelstaedtem na czele.



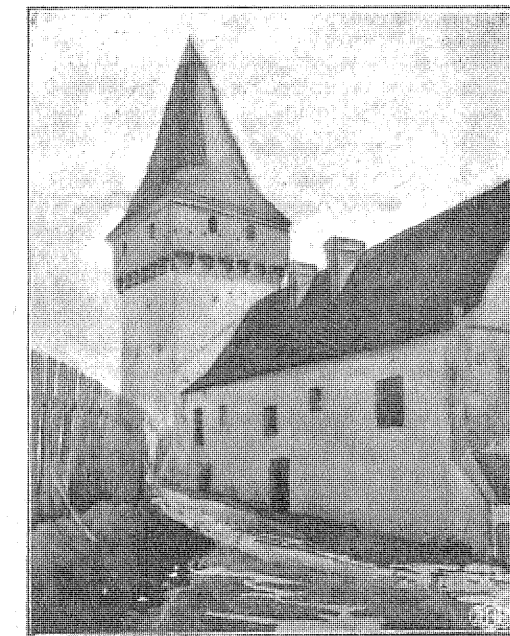
Widok gmachu, w którym się mieści klinika „Betleem“ od strony ul. Podleśnej.



Konstruktor-lotnik p. Józef Grzmilas z Kalisza buduje dwumiejscową awionetkę, której szkielet widzimy powyżej.



Portret por. Nowaka z 10 p. a p. zdobywcy nagrody za bieg św. Huberta, ufundowanej przez Związek Oficerów Rezerwy. Portret wykonał art.-mal. W. Dobrowolski.



„Baszta w Sulejowie“, obraz pendzla art.-mal. Zbigniewa Kasińskiego.



P. Józef Lessel, łódzianin, humorysta, uzyskał od Towarzystwa „Wiktorja“ w Berlinie dyplom honorowy za 25 lat swej pracy artystycznej.

Bambino.

Pan Pigny przechodząc z sekatorem w rękę od drzewa do drzewa swego ogrodu, usłyszał nagle skrzyknięcie kratowanej bramy i ujrzał niebawem wysoką młodą, czarownicę cygankę o twarzy ochry, która, w żółtoliłowym szalu, ze swym bambino na lewym ręku i koszykami z łożyny, zawieszonymi na szelce skórzanej przez prawe ramię zbliżała się do niego.

— Wróżę — odezwała się zamiast przywitania, szperając ciekawymi oczyma, cygańskim zwyczajem w okolo. Przez otwarte okno widać było dostatnie umeblowanie mieszkania.

— Po czemu? — spytał, przyglądając się kobiecie, wspaniałej w swej dzikiej urodzie i równie pięknemu dziecku.

— Po pięćdziesiąt sous.

Pan Pigny dał jej sto. Udała, że szuka reszty w swej kieszeni.

— Nie trzeba! — rzekł pan Pigny, ale małe musi dostać coś za to. Śliczny jest jak „słońce“.

Cyganka zaśmiała się zadowolona, poczem chwyciwszy dłoń p. Pigny odwróciła ją ręką do siebie, wróciła z niej, że właściciel doczeka dziewięćdziesiątki, ale dozna wstrząsu jeszcze w swym życiu.

— Hola! Hola! Moja jejmość! Jestem gwarrantowany! — odparł na to.

Cyganka odeszła ze swym bambino, złocistym, jak pigwa i koszykami, lśnącymi glazurą w promieniach zachodzącego słońca.

Kiedy Serafina, posługaczka ze wsi, przysłała przyprawić oberżynę na kolację, zdziwiła się niepomnie, widząc swego pana zamysłonego i nie reagującego jak zwykle na jej gadatliwość, a że była sprytą i doświadczone, dzięki swym — lekkim coprawda i mało widocznym — zmarszczkom, zwęszyła tajemnicę.

— Hej! Cezar! — zwróciła się niby do psa — kto był tutaj przed wieczorem?

Pies szczekał, ale p. Pigny i tego nie słyszał: Dorodny ten jeszcze mężczyzna, dymisjonowany urzędnik kolejowy, stracił przed laty ukochaną żonę, która umarła przy pierwszym porodzie. Nieszczęście to wycisnęło szlachetne piętno na jego surowej twarzy. Czy wiadomo jednak, dlaczego czasami godziny więcej większą pustką niż zwykle? Czemu, nie spodziewając się już niczego, czekamy?

Pewnego ranka zajadłe szczekanie psa obudziło pana Pigny zniemacka. Zerwał się na równe nogi z łóżka i otworzył okno, nasłuchując. Nic podejrzanego wokół, tylko coś niby rzępotenie na oboju tuż przy domu. Ubrał się tedy pośpiesznie i wyszedł na ganek.

— Patrzcie państwo! — zawołał na widok dwojga czarnych oczu i brązowych piastek, wyglądających z pod chusty.

— Patrzcie państwo! — powtórzył bardziej jeszcze zdumiony, kiedy nachyliwszy się, poznał szal i bambino cyganki, którą przed paru tygodniami widać u siebie w ogrodzie.

Skąd ono tutaj? To prawda, że zachwycał się niem, ale czyżby kobieta z taką dumą trzymająca swoje dziecko na ręku, chciała porzucić je?

Mały wyciągnął rączki do niego.

— Co ja z nim zrobię? — rozmyślał, biorąc go na ręce. Wczoraj Serafina zapowiedziała, że musi pójść odwiedzić chorą ciotkę w Mondragon i nie przyjdzie aż wieczorem. Najbliższa sąsiadka mieszka o pół godziny drogi od niego i zreumatyzmowana w dodatku. Mały chwycił go za wąsy.

Bilerze mnie za swego ojca — rzekł p. Pigny do siebie, bez dumy zresztą. — Nie ma więcej nad 12 — 14 miesięcy. Ciekawa rzecz czy chodzi już?

Zaniósłszy go do mieszkania, postawił na podłodze. Małec pokrywając radośnie i kołysząc się jak pijany na nóżkach ruszył z miejsca wprost do zegara, wiszącego na ścianie w swej zdobnej w złoty ornament obramowie.

— Złodziejską ma żyłkę! — zaśmiał się p. Pigny i zastawiając drzwi krzesłem poszedł wydoić owcę. W kwadrans potem bambino po chciwym wypiciu kubka mleka zasnął na kolanach swego opiekuna, który położył go ostrożnie na swym łóżku i zabrał się do przygotowania oberżyn na śniadanie. Kiedy po godzinie drugiej dziecko obudziło się, p. Pigny miał już gotową kaszkę na mleku dla niego. Nakarmiwszy je, posadził na podłodze i obłożył improwizowanymi zabawkami.

Jakież było zdziwienie Serafiny, kiedy zjawiwszy się pod wieczór zastała swego pana wpatrzonego w bawiące się dziecko. Opowiedział jej zdarzenie.

— Śliczny chłopak, ale brudny jak nieboskie stworzenie — orzekła zabierając się do obliadu i zagrzaną wody na kąpiel. Czyż nie wychowała trzech braci i dwoje dzieci swej siostry? Biedny dzieciak! Ach! Przyszła w porę! Niebawem bambino wykapanie, przebrane w uszytą naprędcę z prześcieradła koszulkę i nakarmione spało w skrzyni wyłożonej dużą poduszką. Serafina macierzyńską troską krzątała się koło niego. P. Pigny przyglądał się z dziwnym wzruszeniem ładnemu obrazkowi. Nigdy dotychczas nie zauważył, że posługaczka jego jest niestara jeszcze i wcale niebrzydka kobieciną. Podawszy panu obiad i uprzątnąwszy kuchnię zabierała się do odejścia.

— Zostań, Serafino! A cóż ja będę robił z malcem w nocy? Przemocuj pod moim dachem. Chyba, że ktoś czeka na ciebie...

— Ktoby zaś czekał, rany Boskie! Ale wezmą mnie na język, panie Pigny!

— Wszyscy sąsiedzi są na winobranie w Cigaleres; nie wrócą aż po skończonej roboty. Nikt nie będzie wiedział, że wracając z Mondragon spędziłaś noc u mnie.

Serafina przystała nie bez ochoty. Postanowiono, że mazajutrz z rana — przy niedzielni — p. Pigny po mszy św. zamelduje burmistrzowi o wypadku podczas gdy Serafina będzie pilnowała dziecka.

Obudziło się po odejściu p. Pigny. Ubrało w czystą białą i sińską sklecołą

przez Serafinę w nocy, siedzi na podłodze w kuchni, otoczone przygodnymi zabawkami. Serafina przygląda się małemu z zachwytem i z niecierpliwością czeka powrotu swego pana, aby się przed nim swym dziełem pochwalić.

Dlaczego p. Pigny marudzi tak długo? Ze stawiając dziecko na kocu podeszła do bramy ogrodowej i wyrzała na drogę. Nikogo. Zrobiła jeszcze kilkanaście kroków do wzgórka, skąd widać było szosę aż do planu kolei żelaznej. To samo. Wracając do domu, usłyszała szelest i skok w pobliską dębnię. Jakgdyby przecuciem tknięta pośpieszyła do kuchni. Dziecka nie było.

— Mały! Mały! — wołała głośno, coraz głośniejsze, zaglądając do jadalnego pokoju, sypialni p. Pigny, przeszukując krzaki w ogrodzie, aż wybuchnęła nagle spazmatycznym płaczem.

— Co się stało. Serafino! Słyszałem cię zdaleka — pytał p. Pigny zadyszany.

— Niema dziecka! — załkała, rzucając mu się w objęcia — zabrali go nam! Zabrali!

Bardzo blady słuchał bezładnego opowiadania Serafiny. — Chodźmy do domu — odezwał się strapionym głosem. Usiadł w kuchni, wyciągnął z kieszeni niedzielną gazetę i przeglądał ją z rozrządzeniem, podczas gdy Serafina ze splakaną twarzą zabierała się do przyrządzenia obiadu.

— O! — zawołał nagle p. Pigny — słuchaj: „Dwaj cyganie i cyganka, aresztowani wczoraj z rana za kradzież papierów wartościowych w domu M. F. w Aygnas, zostali wypuszczeni na wolność, wobec tego, że wykryto istotnego winowajcę niejakiego Piotra S... — robotnika rolnego. Cyganie udali się niezwłocznie do swego obozu rozbitego przy Piolenc i cała banda wyruszyła w dalszą drogę“.

— Co to znaczy, panie Pigny?

— Nic innego, tylko, że cyganka śledzona przez policję, w obawie aresztu oddała nam swe bambino w opiekę, a zwolniona, zabrała je z powrotem.

— Tak... Sprawa jasna... — odparła Serafina, wycierając fartuchem łzy — ale wszystko jedno, serce po dziecku płacze...

— Nie opuścisz już mnie, Serafino, nieprawdaż? Będziemy się razem smucić i pocieszać, po stracie naszego bambino.

Serafina podniosła ku niemu zalane łzami oczy. Wstali oboje w uroczystym nastroju.

— Chcesz być moją? — pytał p. Pigny wzruszonym głosem.

— Do śmierci! — odparła, dygocąc jak w febrze.

Podali sobie ręce.

— Pójdę do kościoła — szepnęła Serafina po chwili.

— Dobrze, ja tymczasem idę do wójta. Trzeba go uprzedzić o nowej zmianie w sytuacji... Od jutra zaś zabieram się do wyrobienia papierów. Trzeba myśleć o formalnościach. Życie z nami związane.

Odeszła. On patrzył za nią, póki nie znikła na zakręcie drogi, pewny, że wróci i da mu to spokojne szczęście, które wystarcza ludziom u progu starości.

Tłum. Jotsaw.

—s:—



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 8 grudnia 1929 roku.

Nr. 50.

Jubileuszowy kiermasz „Kropki Mleka“.



Zwyczajem dorocznym otwarty został w dniu 29 ub. m. w salach przy ul. Traugutta 6, wielki jubileuszowy kiermasz „Kropki Mleka“. Piękna ta impreza, posiadająca już od lat wielu ustaloną renomę, jest licznie odwiedzana w okresie zbliżających się świąt Bożego Narodzenia. Obficie zapatrzone w piękne i wytworzone prace kiermasz stanowi niewyczerpane źródło świątecznych podarków i „gwiazdek“.

Na zdjęciu naszym widzimy fragment z uroczystego otwarcia kiermaszu. Wstępe przeciął naczelnik Wydz. Zdrowia Publicznego Urzędu Wojewódzkiego p. dr. St. Skalski.

Fot. A. Mayer.